



Ciekawość i ludzie. To mnie napędza

ROZMAWIA *Jolanta Ciosek*

– „Ukazujący się dziennik Krystyny Jandy to ewenement na skalę światową. Nikt ze współczesnych artystów nie prowadził tak systematycznie zapisków. Jest w nich cała Janda” – pisze Leszek Bugajski w tygodniku „Wprost”. Czy rzeczywiście tak jest, że to cała prawda o Pani?

– Prawda na użytek publiczny. Jeśli pani czytała już te dzienniki, jest jasne, że piszę je codziennie, poruszam sprawy bieżące, które mogą zainteresować wielu. Nie jest to pamiętnik ani nie ma to charakteru zwierzeń osobistych. Te zapiski są prawdziwe, ale to raczej rozmowy z ludźmi na tematy ogólne.

– Prowadzenie dwóch teatrów, fundacji, granie spektakli, reżyserowanie, pisanie – niektórzy mówią „kobieta z żelaza”. Jest Pani z pozoru silna czy naprawdę ma Pani w sobie „siłę na dwóch”?

– Przede wszystkim gram. Także reżyseruję, a wszystko inne jakby przy okazji. Czy mam siłę na dwóch? Chyba nie, po prostu widać to, co robię, i może dlatego wydaje się to tak bogate.

– Skąd czerpie Pani tyle sił, energii, tę niezwykłą pasję życia?

– Jestem otwarta, wiele rzeczy mnie interesuje, lubię ludzi, to co robię, zaskakuje mnie codzienność. Może to ten „napęd”. Moja dusza płonie, kiedy gram albo kiedy robię coś ważnego. Wiem, czego chcę, wiem, czego nie zrobię, co jest dla mnie warte zaplonięcia, a co nie.

– Pani życie, choć pełne sukcesów, było nie tylko usłane różami: rozstanie z pierwszym mężem, śmierć drugiego, śmierć najbliższej przyjaciółki – jak Pani sobie radzi w sytuacjach takich bolesnych strat, czy ma Pani jakąś receptę na zagojenie ran i ucieczkę od bólu?

– Chyba nikt nie ma. Całym lekiem jest praca i spotkania z publicznością. Poza tym każdy dostaje swoją „porcję” cierpienia i kłopotów. Trzeba to przyjąć. Trudno.

– Czy wiara pomaga przetrwać najtrudniejsze momenty życia?

– U mnie to raczej racjonalne myślenie i optymizm mimo wszystko. Lubię mieć świadomość, że to ja sama radzę sobie z przeciwnościami losu. Staram się być na to przygotowana i pomagać losowi jak umiem.

– Człowiek często w dramatycznych sytuacjach zadaje sobie pytanie: dlaczego właś-

nie mnie to spotyka? Ksiądz Kazimierz Orzechowski, niegdyś aktor, powiedział mi kiedyś, że on też zadaje czasami takie pytanie i jest ono najgłupsze ze wszystkich. Zgadza się z tym Pani?

– Nie zadaję sobie takich pytań. Jestem wyjątkowo wynagradzana przez los. Dookoła mnie jest tylu ludzi dużo bardziej doświadczonych, podziwiam ich, w miarę możliwości staram się im pomóc. Cały ten teatr, sztuka jest czymś w rodzaju takiej pomocy. Wzajemnej próby zrozumienia świata i losu i tworzeniem wspólnoty.

– Zdarza się Pani zwątpienie w sens cierpienia?

– Nie rozumiem jego sensu. Duchowy, wzbogacający, oczyszczający sens? Dziękuję bardzo. Są inne sposoby na zdobycie pełni człowieczeństwa. Ale skoro cierpienie, choćby z miłości nas doświadcza, trzeba sobie z tym radzić.

– W dzisiejszych czasach łatwiej widza wzruszyć, niż rozśmieszyć – mówiła mi Pani w wywiadzie kilka lat temu. A dziś? Coś się zmieniło?

– Ludzie chcą się śmiać za wszelką cenę, zapomnieć o kłopotach, ale przychodzą i szanują tematy trudne. Najważniejsze, żeby teatr był dobry, mądry, dobrze grany, żeby teatr był partnerem.

– Dzięki tytanicznej pracy i talentowi osiągnęła Pani bardzo dużo: miłość publiczności, karierę, kochającą rodzinę. Czego zabrakło na tej drodze – wysięgu życia?

– Niczego. Przeżyłam ciekawe życie, nie oglądam się za siebie, pracuję dalej. Od kiedy powstała fundacja, są to zadania naprawdę trudne, ale radzimy sobie. Wymaga to ode mnie wysiłku i odpowiedzialności, jakiej nigdy wcześniej nie miałam. Myślę tylko o przyszłości.

– Czego życzy Pani sobie z okazji minionych niedawno urodzin, a czego Czytelnikom w tym świątecznym czasie?

– Chciałabym móc zajmować się tylko „sztuką”, znaleźć wytchnienie od codziennej teraz szarpaniny. Chciałabym, żeby wszystko się budowało, a nie rujnowało i psuło. Czytelnikom życzę spokoju, dostatku, poczucia bezpieczeństwa i szczęścia osobistego. ©



Janda. Z równym powodzeniem wciela się w najlepszą – Marię Callas, jak i w najgorszą – Florence Jenkins – śpiewaczkę świata. W panią Dulską i w knajpianą piosenkarkę dręczoną przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. A już w monodramach, które są od wielu lat jej znakiem firmowym, nie ma sobie równej aktorki: świetnie wciela się w Danutę Wałęsową i w rozmaite postaci kobiet po przejściach.